

# Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

## TREŚĆ:

<i>Dr. Witold Lewicki: Do broni . . . . .</i>	449
<i>H. S. Pamiętnik bratańca królewskiego Ks. Stanisława Poniatowskiego . . . . .</i>	454
<i>Dr. Kazimierz Twardowski: Metafizyka duszy . . . . .</i>	467

---

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



## WIEDŃ.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Wih. Frick, I. Graben Nr. 27  
we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurowicza  
w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895.

## TREŚĆ dotychczas wydanych zeszytów:

- No. 1. Od redakcyi. — *Dr. T. Rutowski*: Ruch ludowy i stronnictwa narodowe. — *Ks. Dr. A. Kopyciński*: Rola księdza polskiego. — *Prof. A. Wachnianin*: Stronnictwa na Rusi halickiej. — *Prof. Dr. A. Sokolowski*: Uwagi krytyczne nad historią powstania styczniowego. I. — *Dr. Witold Lewicki*: Ad limina Apostolorum.
- No. 2 u. 3. *Stanisław Szczepanowski*: Racyonalizm narodowy. — *Dr. T. Rutowski*: Reforma wyborcza. — Budżet Królestwa Polskiego. I. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Fryderyk Nietzsche. — *Dr. Witold Lewicki*: Francesco Crispi. — *Jan Skrzydlewski*: O ruchu muzycznym we Wiedniu.
- No. 4. Przesilenie w Koalicyi. — *G. Smólski*: Czesko-słowiańska Wystawa etnograficzna. — Budżet Królestwa Polskiego. II. — *Roman Lewandowski*: Salon wiedeński.
- No. 5. Po upadku koalicji. — *Ks. Dr. Adam Kopyciński*: Jednostka a społeczeństwo. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Monista mistyk. — *Zygmunt Bytkowski*: Maurycy Maeterlinck.
- No. 6. *Dr. Witold Lewicki*: Paszkwilantom. — *Dr. Tadeusz Rutowski*: Fabrykacya opinii krajowej. — *Antoni Fibich*: Ruch chłopski na Mazurach. — *Dr. Zofja D.*: Listy z Niemiec. I.
- No. 7. *St. Szczepanowski*: Sytuacya polityczna w Austrii. — *Dr. August Sokolowski*: Leliwa. — *Zygmunt Bytkowski*: Intérieur.
- No. 8. Dzień Cylei. — *T. R.*: Ministerstwo Madeyskiego. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Kultura etyczna. — *S. Z. Dański*: Kartka z życia umysłowego Poznania.
- No. 9. *Stanisław Szczepanowski*: Nowe kierunki w prasie „postępowej”. — *Dr. Witold Lewicki*: Stambułow. — *Dr. Anna Wyczółkowska*: O psychologii indywidualno-eksperymentalnej. — *Fraszki Rodocia*. — *Roman Lewandowski*: Dr. Oscar Bie i wystawy sztuk pięknych. — *M. Wierzbński*: Z salonu londyńskiego. — *Dr. Zofja D.*: Listy z Niemiec. II.
- No 10. Pierwszy strzał. — *Jan Sawa*: Sen Jermaka. — *W. Gedrojc*: Wybory w Anglii. — *S. Z. D.* Listy z Niemiec. III.
- No. 11. *Stanisław Antoni Prus*: Do Redaktora „Przełom”. — *Dr. Witold Lewicki*: Sejmiki prowincjonalne we Francyi. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Franciszek Brentano a historia filozofii. — *W. Lutosławski*: Tydzień na Oceanie Atlantyckim.
- No. 12. Konfederacya Rzeszowska. — *M. Wierzbński*: Prof. T. H. Huxley. — *W. Lutosławski*: Tydzień na Oceanie Atlantyckim. — *Ludwik Szczepanowski*: W ramach z filigranu.
- No. 13. *Dr. Witold Lewicki*: Bańki mydlane. — *Prof. Ludwik Gumplowicz*: o sprawie polskiej. — *Stanisław Lewandowski*: Głodna sztuka. — *Karol Wróblewski*: Współczesne malarstwo angielskie. — *W.*: Skrucha.
- No. 14. *Dr. Witold Lewicki*: Walka klas. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Filozofia współczesna o nieśmiertelności duszy. — *Ks. Dr. Adam Kopyciński*: Władza państwowa.

Dla P. T. Duchowieństwa i nauczycielstwa  
obniżamy prenumeratę do

**połowy**

to jest kwartalnie 1 złr. 25 ct., miesięcznie 45 ct.



→ Wiedeń, dnia 31. sierpnia 1895. ←



## Do broni.

Ile razy nadchodzi okres nowych wyborów, kraj przechodzi przez paroksyzm agitacyj, których prawdziwy przyjaciel postępu i poprawy zawsze radby mu oszczędzić.

Miasto codziennej, spokojnej, wytrwałej pracy nad rolą, w warsztacie i w fabryce, nastaje chwila bezczynności, a za to z tem silniejszym impulsem uderzają o stałe i wyrobione formy ustroju społecznego fale agitacyj t. zw. wyborczych. W bieżącej walce wyborczej w Galicyi mnóstwo żywiołów ruchomych w kraju roz hulano, rozjątrzone i rozpolitykowane tak, że ludzie spokojniejsi, zacni, pracowici, z trwogą spoglądają na skutki tej neodpowiedzialnej roboty; ileż to zapowiedzi bezmyślności, jakie rozjątrzenie nie zabliznionych waśni społecznych, ile zmarnowanej pracy ludzkiej, jakie zwyrodnienie etyczne uczuć, jaki krok wsteczny na drodze stałej, rozumnej, powolnej a wytrwałej pracy organicznej i rozwoju. Wybory to paroksyzm.

Zawsze to u nas wybory na długo wyprowadzając kraj z równowagi, przecinają stały jego rozwój i pozostawiają na długo ślady ujemne walki bezpłodnej i rozgorączkowania sztucznego.

Zawsze to u nas wybory wywołują na wierzch najrozmaitsze obskurne i nie warte indywidua, których nikt przedtem w kraju nie znał, nie nikt o nich nie słyszał, a które nagle w tej atmosferze baniek mydlanych nie wiedzieć z jakich czeluści na światło dzienne wylazłszy, prowadzą swe pełne pogardy rzemiosło rozjuszania, podżegania warstwy przeciw warstwie, jednej klasy ludności przeciw drugiej.

Kiedy gazety z Galicyi przynoszą co dzień nowe wiadomości o samowolnych komitetach, o wyłamywaniu się z pod solidarności, o podlegających agitacyach, o nie sumiennych oskarżeniach, o zdobywaniu zaufania ludu przy narzucających mu się domorodnych Maratków i Dantonków — trudno się oprzeć rozmyślaniu na temat: jak się rozpoczynają rewolucye społeczne?

Objawy radykalizmu w Galicyi nie są nowe. Powstawały one zawsze, schlebając naszemu temperamentowi narodowemu i pewnej porywczosci do nigdy nie przeprowadzonych zadań, ale nigdy nie ujawniały się z taką siłą i samowiedzą, jak w ciągu bieżącego okresu „akcyi przedwyborczej“.

Jest drobna garstka ludzi, których unosi gorące poczucie sprawy publicznej, wielka miłość ludu wiejskiego, dla którego z całym zaparciem się, chociaż nie bez popełniania szeregu błędów politycznych, wytrwale i żmudnie pracują. W tych jest święty ogień. Ale jak ómy około światła, tak obok tych kilku zasłużonych, choć nie dość uznanych pracowników postępu i oświaty snuje się tłum indywiduów bez zapału, bez poczucia obowiązku i odpowiedzialności, ale z wyrobionem gardłem krzykacza i z czołem bezczelnem. I ci rzucili jarzące węgle na ruch idący żywiolowo i nieświadomie z głębi samego ludu i ci porwali się na te pierwsze objawy uświadomienia ludowego i chcieli niem ovladnąć.

Lud w części ich odepchnął, w części dał ucho podszeptom schlebającym im, ale słuchając ich poduszczuć nie dowierza tym „hadwokatom z miasta“, czując przez skórę, że tu jakieś niesamowite są w grze moce.

Przeciw tym robotom prowadzonym przez szereg lat z wytrwałością i osobistem poświęceniem, ze strony przeciwnej nie przeciwdziałano wcale. Puszczano mimo uszu wszystkie pre-strogi i rady, spuszczano się na zdrowy instynkt ludu.

Obecnie czują swój błąd. Lud nasz ma dwie cechy, które są wyznacznikiem politycznym jego obecnego stanu duchowego. Ma wielką religijność w duszy i wielkie przywiązanie do ziemi. Słucha natchnionego słowa Bożego, potrzebuje tej pociechy, której każdy z nas żyjących w tym wieku zwątpień i rozterek, ach! o ileż więcej potrzebuje!

Dlatego położenie nacisku na wychowaniu młodej, gorliwej i rozumnej generacji duszpasterzy, duchowych kierowników tego ludu, będzie pierwszą rękojmnią jego przyszłości.

Drugiej rady i wskazówki słucho lud z wielką chciwością, nauki gospodarstwa rolnego. Przekonywują o tem sprawozdania nauczycieli wędrownych rolnictwa i dlatego nigdy dość gorąco nie można nakłonić do najrychlejszego zakładania szeregu szkół rolniczych, a jak już nas na szkoły rolne nie stać, to bodaj na zorganizowanie służby nauczycielskiej, złożonej z jakiej setki nauczycieli wędrownych rolnictwa.

O tych dwu kierunkach wpływu na lud wiemy i mówimy tak wiele, a w żadnym z nich postępów znacznych nie uczyniliśmy.

Więc o tem trzeba będzie pamiętać na przyszłość. A w każdym razie dziś zabrać się ze zdwojoną siłą do pracy nad ludem, do uczestnictwa w jego obradach, do życia i zżycia się z nim czas najwyższy.

Hypolit Taine w książce o powstaniu współczesnej Francji, której jak żadną trzeba polecać rozwazce wszystkich zajmujących się publicznem życiem współczesnem, a która jest jego testamentem politycznym dla Francji, uczynił to trafne spostrzeżenie o zachowaniu się chwiejnem umiarkowanej prawicy i środka, które prawie stale w trzech Zgromadzeniach liczyły większość absolutną, a jednak zawsze poddawały się z pokorą energicznej dyktaturze żywiołów skrajnych.

Możnaby ten sąd rozciągnąć zarówno na współczesne europejskie parlamenta, jak nawet i na stosunki naszego życia publicznego. Jest bowiem w tym głębokim sądzie wielkiego historyka Rewolucyi ta znajomość psychologii osobistej, jednostkowej, która odznaczała autora książki o Inteligencyi, ale jest głębsza znajomość psychologii ciał zbiorowych, która jest genetycznie inną i różną od psychologii osobistej.

Kiedy w obronie zasad radykalnych żywiły skrajne idą z niepowsięgliwym zapałem młodości i wiary w swe hasła, to w obronie zasad umiarkowanych przemawia się zwykle półgębkiem i jakby od niechcienia, uważając ich zwycięstwo za

naturalną konsekwencyę rzeczy. Tymczasem rozum ludzki nie tylko błądzi, ale nadto w stanie swej czerstwości znajduje nader szczupłe grono zapalonych wyznawców.

Ludzie zawsze pójdą tłumem za zdaniem skrajnem, wypowiedzianem z żywością i talentem, a omijać będą stare prawdy, podawane im w najnieumiejętniejszej formie i z najmniejszym zasobem wysiłku umysłowego.

Z tem trzeba zerwać i dla obrony zasad umiarkowanych trzeba rozwinąć cały zasób talentu, rzutkości, siły: całą moc i passyą temperamentu. Dziś podajemy pierwszy krok ze strony duchowieństwa, podjęty przez Ks. biskupa tarnowskiego, który swym listem pasterskim uderzył w samo gniazdo zarzewia.

Nie jest naszą rzeczą wdawać się w szczegółowy rozbiór tego duchownego pisma. Nie przysługuje nam bowiem prawo krytyki pism, w których książe Kościoła odzywa się do kapłanów, podległych jego biskupiej władzy. Pismo to jednak jest zbyt ważne, abyśmy je mogli przemilczeć; załączymy je więc do zbioru dokumentów wyborczych ex 1895.

\*            \*            \*

#### „O k ó l n i k.

„Przekonawszy się z publicznych ogłoszeń lwowskich pism i z osobistych sprawozdań przez naszych Kapłanów Nam złożonych, że ludowy komitet przedwyborczy we Lwowie z radykalnych żywiołów powstały, bez wszelkiego względu na położenie nasze, stawia hasła przeciwne naszym dziejom, burzące cześć i posłuszeństwo dla kościelnej hierarchii i rządowej, dla inteligencji pracy i oddziedziczonych praw majątkowych i socyalnych; postanowiliśmy zawezwać uprzejmie WW. Braci i Synów naszych do wystąpienia przeciwko tej agitacyi.

Dobro kraju naszego wymaga, aby WW. Kapłani nie usuwali się od prawyborów, aby powagi centralnego komitetu wyborczego bronili i lud nasz ostrzegali przed naukami i dążnościami owych radykalistów, którzy pragną wywrócić nasz ustrój społeczny. **Już zaś nie tajno nikomu, że owi mniemani przyjaciele ludu nie mają na oku dobra tego ludu, ale sami z agitacyi ciągną zyski z owych stron, z owych kół rewolucyjnych, którym dostarczają**

**funduszków śmiertelne wrogi** naszej Monarchii, naszego Kościoła katolickiego i naszego narodu polskiego.

Dan w Tarnowie 25. sierpnia 1895.

Ordynaryat Biskupi. † *Ignacy*, Biskup.“

\* \* \*

Podburzenia musiały przybrać w kraju istotnie przerażające rozmiary, jeżeli nawet u nas zerwano się do czynu i do przeciwdziałania.

Jestto istotnie zdumiewajacem zjawiskiem, jak mało robi się w naszym kraju nad oświeceniem publiczności, o środkach, o arkanach i o celach ludzi żyjących agitacją i dla agitacyi jak bardzo puszcza się mimo uszu najdziksze kłamstwa, rzucone między naiwną i dobroduszną publikę, i jak licząc na tę dobroduszną pozostawia się resztę przypadkowi, albo temu naszemu tradycyjnemu hasłu, które nas tyle już kosztowało nieszczęść, że „jakoś to będzie“. Ale to źle będzie, jeżeli się nic robić nie będzie, i jeżeli z własnej woli i postanowienia nie zabiorą się ludzie zacni i rozumni do pracy nad prostowaniem ciskanych z całą świadomością kłamstw, fałszów, półśłówek, oskarżeń, podejrzeń i oszczerstw. Trzeba raz z całą odwagą, ale i z całą bezwzględnością temu galicyjskiemu wilkowi w baraniej skórce, uchodzącemu za uciśnioną niewinność, zagładnąć w oczy, trzeba chwycić i tego woła głupoty, udającego rozum, trzeba go powalić i utłuc.

Nie dość jest zebrać się raz na sześć lat na posiedzenie sejmowego komitetu centralnego wyborczego, powiedzieć jedną mówkę poetyczną i drugą mówkę pesymistyczną, aby potem za radą pocziwego szlachcica z pod ciemnej gwiazdy rozjechać się do domu, w przekonaniu, że wszystko jest jak najlepiej na tym z najlepszych światów — a zresztą „jakoś to będzie“.

Minęły te czasy smutnego *dolce far niente*, a jeżeli dziś te gorzkie słowa pisać musimy, to może właśnie dlatego, że czasy te tak długo trwały.

*Dr. Witold Lewicki.*



## Pamiętnik bratańca królewskiego Ks. Stanisława Poniatowskiego.

Podajemy czytelnikom polskim sensacyjny wypadek literacki ubiegłego tygodnia, tłumaczenie pamiętników bratanka królewskiego, Stanisława Poniatowskiego. Sąd o wartości tego włączeni królewskiego wyrobi sobie czytelnik sam po przeczytaniu tych kartek.

Ks. Stanisław Poniatowski urodził się w Polsce r. 1754 jako syn brata królewskiego ks. Podkomorzego Kazimierza, a umarł we Florencyi r. 1833. W swoim życiu 79letniem był świadkiem osobistym upadku kraju, a stykał się niejednokrotnie osobiście z Fryderykiem W., cesarzem Józefem II i carową Katarzyną. Pamiętniki te podyktował w późnej już starości, dwa lata przed śmiercią, sekretarzowi w języku francuskim. Za pośrednictwem p. Łopacińskiego, ks. Louiza Poniatowska pamiętniki te oddała do dyspozycji p. Józefa Korzeniowskiego, dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu i delegata Akademii Nauk w Krakowie, który zamierza je umieścić w całości w „Revue d'Historie diplomatique“, organie Towarzystwa d'Historie diplomatique w Paryżu, a tymczasem podaje następujące wyjątki wraz z własnem streszczeniem reszty\*) w numerze z 15. sierpnia „Revue des Revues“.

\* \* \*

„Król uważając mnie jeszcze jako mało przydatnego do wszelkiej pracy na seryo, postanowił wysłać mnie w podróż.

---

\*) Streszczenia i uwagi Korzeniowskiego są odróżnione drukiem drobniejszym.



Najprzód w r. 1769 wyjechałem do mego stryja, ojca księcia Józefa, który dowodził dywizją wojsk austryackich w Austrii górnej.

„Tutaj przedstawił mi się widok uderzający dla mnie, porządku, spokojnego toku spraw i dobrobytu mieszkańców. To wszystko było bardzo odmienne od tego, co widziałem w Polsce, gdzie król, który jeszcze walczył z anarchią, nie mógł jej pokonać i nie był w stanie wytworzyć regularnego rządu.“

To były smutne czasy „Konfederacji Barskiej“. Konfederaci prowadzili w całym kraju wojnę podjazdową przeciw rządowi królewskiemu, Francya i Austria popierały ten ruch, pierwsza przysyłając pieniądze i dowódców, jak: Dumourier'a, Kellermann'a, de Choisy, Vioménil'a Saillant'a i innych; Austria, pozwalając naczelnikom powstania usadowić się na Szląsku przy granicy, w bezpiecznym stanowisku i ztamtąd kierować całym ruchem. Z drugiej strony wojska rosyjskie i pruskie zajmowały kraj pod pozorem obrony władzy legalnej i na każdym punkcie wypierały Konfederatów. Była to istotna anarchia i młody człowiek, który znał tylko taki stan w swoim kraju, mógł słusznie być zdumiony ładem panującym w krajach Maryi Teresy.

„W jesieni tego samego roku znajdowałem się w obozie pod Olchau, gdzie marszałek Laudon komenderował pierwszą linią, a mój stryj drugą. Cesarz Józef II przedstawił mnie Fryderykowi II, co było wielkim i nowym ewenementem dla siedemnastoletniego młodzieńca, który dotąd znał tylko Warszawę. Obóz ten był zalany przez gwałtowne deszcze i Fryderyk II, chcąc się elegancko przedstawić cesarzowi w białym uniformie, a posiadając tylko jeden, który był zupełnie przemoknięty, musiał się położyć do łóżka, nim mu wysuszono i przyszykowano strój, aby się mógł udać na obiad cesarski. Na tym obiedzie, pomimo że generał Lascy był pierwszym oficerem armii, co do rangi, Fryderyk II posadził obok siebie marszałka Laudon i rzekł przywoławszy go: „Proszę cię marszałku, siadaj tutaj, wolę cię mieć obok siebie anizeli vis-à-vis“.

„Ponieważ teatr nie był zatopiony dano wieczorem przedstawienie. Urządzono, co może dać najprzyjemniejszego opera komiczna i balet. Fryderyk II zawsze niejako pozostawał w roli skromnego elektora i siadał na koniuszku krzesła, gdy mówił

z cesarzem. Obserwowałem to wszystko siedząc za nimi obok księcia de Ligne, który mając niesłychaną łatwość robienia wierszy, mianowicie w rodzaju „polisson“, cytował mi ich setkami z najpoważniejszą miną, biorąc zwykle za przedmiot nienaturalne gusta króla pruskiego w miłości.

„To co się tam działo byłoby zabawnem, ale właśnie wtedy określono pierwszy plan rozbioru Polski, który w dalszych konsekwencyach wstrząsnął podstawami Europy.“

Poniatowski przebył następne lata w podróżach, dłuższy pobyt na wiedeńskim dworze „rozszerzył zakres jego wyobrażeń i dał mu poznać wielkie własne braki“. Później król go wysłał do Paryża, gdzie poznał panią Geoffrin, a ztamtąd do Londynu i Cambridge na naukę. W chwili, gdy młody książę miał jechać do Irlandyi i Szkocyi, został nagle powołany do kraju przez swego ojca. Był to okres historii polskiej najsmutniejszy, najbardziej rozdzierający. W pięćdziesiąt lat później pisze Poniatowski pod wpływem tych wspomnień:

„W jakimże piekle się znajdowałem? Było to podczas sejmu rozbiorowego pod łaską Ponińskiego, który trwał przez trzy lata i zmienił stosunki Europy. Polska była zalana premoją trzech mocarstw, Warszawa zajęta przez obce żołdactwo własność i bezpieczeństwo prywatne wydane na łup chciwości zbrodniczej spółki w łonie własnego narodu, która pod osłoną i protekcją obcej dyplomacyi, stała się nikczemnem jej narzędziem. Mocarstwa osiągnęły swój cel przez użycie straszliwych środków. Skutki pokazały, jak trudno osądzić, które z państw rozbiorowych będzie miało najwięcej powodu do żalowania tego kroku. Przybywałem do kraju z pojęciami ładu społecznego, poszanowania własności i tych wszystkich elementów społecznego bytu narodów. Uczulem się więc wśród prawdziwego piekła.

„Mając lat dziewiętnaście pojechałem do Paryża. Był to przedostatni rok rządów Ludwika XV, epoka we Francyi świetnego życia towarzyskiego, mnogość ludzi miłych i dystyngowanych, oświeconych i pełnych geniuszu, wytryskała wśród towarzystwa salonowego. Idey liberalne zaczynały już kiełkować i pobudzały wielkie nadzieje. Jedyne dwór się im opierał. Ludwik XV, „cet homme d’esprit,“ szlachetnej postawy, i który

mogł mieć słuszne pretensye do wielkości wszelkiego rodzaju, był oddalony od tego ruchu przez wadliwe wychowanie, cały oddany przyjemnościom, zobojętniały i nieczuły na wszystko, co do niej nie wiodło. Zostałem przedstawiony królowi i jego rodzinie, wszystko się odbyło wedle zwykłej etykiety. Wycho-  
dząc ztamtąd, mistrz ceremonii, który przewodniczył całemu  
ciału dyplomatycznemu i obcym gościom, powiada nam, że  
„teraz pójdziemy odwiedzić Mme du Barry.“ Ja zatrzymałem  
się i rzekłem, że ja tylko chciałem odwiedzić dwór króla  
i jego familią i z polską prostotą chłopca dziesiętnastoletniego,  
odwróciłem się i odeszłem. Było to jak odgłos grzmotu, dla tego  
świata innych nawyknień i innego kraju. Nie przeszkodziło to  
jednak, że następnie byłem na obiedzie u pierwszego ministra  
i mogło się obejść bez dalszych konsekwencyi. Ale Delfin i jego  
żona i cała rodzina królewska dowiedziawszy się o tym moim  
czynnie zuchwałym byli zachwyceni, otoczyli mnie względami  
i wszelką uprzejmością, zapraszali mnie na swoje prywatne  
zebrania; i tak nie roszcząc do tego żadnej pretensyi stałem  
się przedmiotem atencji, bo wiele osobistości znakomitych  
zwróciło na mnie uwagę i względy, co mi uczyniło pobyt  
w Paryżu tem miłszy.“

Zdaje się, że w Paryżu Poniatowski zyskał wielu przyjaciół;  
bywał u dworu, w licznych salonach (między innemi u pani  
Geoffrin) i w kołach dyplomatycznych. Niewiadomo, czy oswoił  
się z życiem paryskim tak dalece, żeby bywać u Mme du Barry.  
W Tulonie dowiedział się o śmierci Ludwika XV, przebył zimę  
następną w Rzymie i powrócił do Warszawy w roku 1776.  
O-iedlił się w kraju i począł brać czynny udział w sprawach pu-  
blicznych.

„Tak byłem zrażony do mojego kraju, z powodu scen  
straszliwych, jakie tam widziałem podczas rozbioru, że powró-  
ciłem z postanowieniem zapewnienia sobie egzystencyi, choćby  
najskromniejszej poza granicami Polski. Jednakowoż po krótkim  
pobytcie w kraju przyszedłem do przekonania, że mogę tam  
robić dobrze i dużo dobrego i to zmieniło moje zamiary. Przez  
przeciąg dziesięciu lat szczęście mi służyło w sposób tak nad-  
zwyczajny, że nie zadając sobie nawet wiele trudu stałem się  
człowiekiem prawie najbogatszym w Europie. Bo któż miał

pięćkroćtysięcy dusz w swoich dobrach, do swojej dyspozycyi, i możność zdwojenia swoich dochodów i nabywania coraz nowych majątków, wiele by tylko zechciał? Rewolucye europejskie, których Polska stała się pierwszą ofiarą i ogromne straty, które poniosłem dla uratowania chociaż by niezależności, gdy już nie mogłem być użytecznym dla tych, których szczęście i pomyślność zawsze mnie zajmowały; to wszystko zredukowało moją ogromną fortunę, która stała się bezprzedmiotową wobec rozbioru kraju i zmniejszyła się w mierze ogromnej i stała się odpowiedniejszą do okoliczności, co też przyczyniło się, abym się pocieszył po jej stracie.“

Ten ostatni frazes, powiada wydawca tych pamiętników p. Korzeniowski, ma dużo wdzięku, pokazuje zdolność rezygnacyi, pewien stan duszy, który nazwanoby dawniej filozoficznym. Nie brakowało Poniatowskiemu uzasadnionej ambicji męskiej; pokazuje to jego życie, chociaż mniej świetne niż księcia Józefa. On był niezaprzeczenie najbogatszym członkiem rodziny, chociaż wcale nie najbogatszym człowiekiem w Europie, jak sądził; bo nawet w Polsce majątki Radziwiłłów, Czartoryskich, Potockich były większe niż jego. Jednakowoż miał środków dosyć, żeby robić wiele dobrego, jak świadczą wszelkie wskazówki: Doskonały administrator, bardzo dobry pan dla swoich poddanych, rozpoczyna on w Polsce szereg tych magnatów światłych z umysłem toleranckim i liberalnym, którzy pracowali ze skutkiem nad wyzwoleniem chłopów z poddaństwa, które było ich nieszczęsnym losem w całej Europie ówczesnej, a które mianowicie w Polsce najgubniejszy wpływ wywierało. Ci ludzie walczyli wiele, ażeby podnieść moralnie lud i polepszyć byt jego materyalny. Wszyscy znakomici podróżnicy, którzy wtedy zwiedzili Polskę, jak: William Coxe, Bernouilli i Inflandczyk Schulz, wszyscy uznają wielkie zasługi na tem polu księcia Stanisława. Podniósł on w swoich majątkach przemysł i handel, zbudował wiele fabryk, fundował szkoły i wprowadził ład w skarbowości krajowej. Te zalety, tak rzadkie w pośród ludzi, którzy popchnęli do najdalszych granic bezład i marnotrawstwo sił duchowych i materyalnych, zjednały Poniatowskiemu uznanie nawet u pisarzy stronnictw przeciwnych.

Co do jego politycznego stanowiska, to był bardzo wpływowym prezesem Rady Nieustającej (co odpowiada radzie ministrów), został podskarbin wielkiego księstwa litewskiego i administratorem dóbr prywatnych królewskich, które nosiły nazwę „Ekonomii królewskich“.

Obok tych zajęć spełniał także funkcją oficjalnego zastępcy króla, swego stryja, w rozmaitych delegacjach i kongresach monarchów, czy to w Polsce czy zagranicą. Z tej okazji poznał najznakomitsze osobistości swojej epoki. Obdarzony bystrym, obserwacyjnym zmysłem, składa w swoich pamiętnikach rysy charakterystyczne, szczegóły, które nieraz uszłyby uwagi wprawnego historyka, anekdoty, często interesujące.

„Po sejmie Mokronowskiego, gdzie ustanowiono wiele praw użytecznych, które poprawiły los Polski, i którym tym razem Rosya się nie sprzeciwiała, zostałem wysłany przez króla do Petersburga, aby podziękować carycy. Przyjęła mnie tym razem jak i zawsze później z taką dobrocią, za co jej zachowam na zawsze pamięć wielkiej „wdzięczności“. Dwór domyślał się, że tam było coś więcej w tej życzliwości. Jeżeli tak było, to ja najmniej spostrzegłem się na tem i nie życzyłem sobie o tem wiedzieć. Mogło to drażnić dumę tej kobiety, pięknej jeszcze i tak wielkiej władczyni. Jej zachowanie wobec mnie, jednostajne wtedy i w późniejszych czasach, wzmogło nieskończenie respekt, który żywiłem dla jej charakteru. Sposób, w jaki carowa mnie traktowała, wzbudził mi nieprzychylność wielkiego księcia Pawła, który zwykł był krytykować wszystko, co ona robiła. To uczucie rozgoryczenia wobec mnie podniecał jeszcze książę Repnin. On się mienił wielkim przyjacielem mojego ojca, ale z pewnością nie był moim. Był to ten sam, który z taką wyniosłością i gwałtownością wykonywał swą władzę ambadorską w Warszawie. Był on charakteru rycerskiego, ale względem Polski miał swoje arcyrosyjskie zasady. Pewnego dnia zostawszy sam na sam rozmawiałem z nim wiele o Polsce: wyłuszczał mi swoje opinie. Ja z otwartością dwudziestoletniego młodzieńca powiadałem mu, że wedle mego zdania sposób postępowania Rosyi musi w Polsce spowodować następstwa zgubne. Na to mi odpowiedział z równą otwartością, że pomyślność Polski a pomyślność Rosyi to są dwie odmienne rzeczy i pogodzić się nie dadzą... Później, po rozbiórce Polski, zbliżył się do mnie i oddał mi ważne usługi, nie proszony.“

Było to w Grodnie, w 1796 r., gdzie ex-król Stanisław August przebywał niejako pod dozorem księcia Repnina, który już wtedy był niesłychanie odmieniony pod wpływem nauki mistyka „St. Martin“,

której się wtedy całkowicie oddawał: z człowieka dumnego i impetycznego stał się skromnym, pokornym i pełnym rezygnacji.

W r. 1779 Poniatowski towarzyszy carowej Katarzynie i cesarzowi Józefowi II w podróży do Mohilewa. Dla księcia ta podróż miała smutny koniec, bo stracił przyjaciela, generała Coccei.

„Ta przykra okoliczność wstrzymała mnie na kilka dni i ażeby się trochę rozerwać wobec tego złego, na które nie było rady, przyszło mi do głowy, aby napisać list do carowej, w którym jej wyłuszczyłem, jak bardzo by mi zależało na tem, aby poznać jej prawdziwe intencje co do Polski, bo mi się zdawało, że ten kraj, którego konstytucja jest tak zachwiana, który jest wydany na dowolność ambasadorów rosyjskich, jest skazany na taką egzystencję, która musi spowodować zaburzenie w narodzie mającym czucie. To zapytanie, trochę zuchwałe, mogło tylko wyjść od młodzieńca dwudziestoletniego, ośmielnego trochę dobrocią carocy. Ale ma się rozumieć, pismo zostało bez odpowiedzi... W r. 1781 wielki książę Paweł rozpoczął wielką podróż. Carowa doprowadziła do porozumienia pomiędzy nami i pozostawaliśmy w korespondencji regularnej. Ponieważ miał przejeżdżać przez część Polski, król wysłał mnie na jego spotkanie. Był bardzo uprzejmy i jego żona przyczyniła się bardzo do uprzyjemnienia podróży.“

Poniatowski przytacza swoje rozmowy z przyszłym carem Pawłem I, jego uprzejmą wówczas łaskawość, tak odmienną od późniejszych jego dziwnych szaleństw carskich i ozdabia swoje opowiadania wieloma udaleni anegdotami: jak n. p. o pani wojewodzynie Jabłonowskiej, która w zamku w Lachowcach położyła obok łóżka wielkiego księcia dwa ogromne pistolety nabite cameami, a u stóp łóżka umieściła zegar, który na każdy kwadrans krótko przygrywał, a każdą godzinę nocy długą muzyką zaznaczał. Zwiedzenie synagogi w Brodach i mrowiska ludności żydowskiej, pobyt u pani Branickiej w Białymstoku, wesele żydowskie w Szadowie, gdyż „u żydów są zawsze ludzie do żenienia“, koncert wilków, wilczyc i wilczątek i t. d. wszystkie te notatki i anegdoty, jakkolwiek nic nie znaczące, dają jednak obraz życia w domach magnackich w tych okolicach, tak oddalonych od ognisk cywilizacji.

W trzy lata później Poniatowski zrobił podróż do Niemiec, zaczynając od Berlina, daje kilka rysów charakterystycznych Fryderyka Wielkiego, które są ciekawe.

„Znajdowałem się w Berlinie na manewrach wiosennych i widziałem tam Fryderyka II po raz ostatni. Przyjął mnie w małej galeryi, przyległej do okrągłej wieży pałacowej. W tej galeryi znajdował się już od lat dwudziestu i siedmu atlas zawsze otwarty na karcie Polski. Obok tej galeryi był jego pokój sypialny; stało tam liche szpitalne łóżko, na którem sypiał, jak mi mówiono, nie w szlafmicy, ale w wielkim, płaskim kapeluszu wedle regulaminu. Weszliśmy do żółtego gabinetu i natychmiast zamknęły się drzwi od zewnątrz. Wszyscy generałowie byli tam zgromadzeni, by odebrać rozkazy. Nie powinienem był się znajdować przy tej funkcji sekretnej, to też trzymałem się o ile możności najdalej. Ztamąd wyszliśmy wszyscy; generałowie udzielili rozkazów oficerom dla wszystkich regimentów, ci znowu dali rozporządzenia niższym oficerom, czekającym na dziedzińcu. Widok ten cały był imponujący. Król przez tę galeryę wszedł do gabinetu mizernie umeblowanego, gdzie go oczekiwał korpus dyplomatyczny. Mówił im fraszki i zakończył żartem, całkiem w jego guście.

„Odkrycia przyrodnika Spallanzani o rozmnażaniu gatunków zajmowały uczonych, król mówił o tem i żart za żartem powiedział im, że odkrycie to może być bardzo korzystne dla rządów, gdyż oszczędzi wiele korowodów w zawieraniu małżeństw z księżniczkami oddalonymi i całą rzecz da się załatwić przez poselstwa, poczem ich pożegnał. Powracając przez galeryę zobaczył siedzącego przy drzwiach marszałka Ziethen'a, starszka ośmdziesięcioletniego, w mundurze młodego oficera od hussarzy. Król rzekł do niego kilka słów nprzejmym tonem zupełnie odmiennym; wogóle miał dziwną zdolność zmieniania wyrazu twarzy w jednej chwili. W tej galeryi była jeszcze jedna osobliwość, t. j. bardzo piękne makaty gobelinowe z tematów biblijnych. Był też tam mały, mizerny portrecik Katarzyny II, zawieszony tuż pod dyscypliną Chrystusa, wyganającego przekupniów ze świątyni. Ten rodzaj żartu i satyry mógł ujsć tylko wielkiemu geniuszowi, który mógł się oprzeć na doskonałej trzykroć stutysięcznej armii. Co do gobelinów o tematach religijnych, to tylko przez omyłkę się tu dostały, gdyż były przeznaczone dla Benedykta XIV, Fryderyk miał

dość bitwy Aleksandra i tylko pomyłono adresy. Papież zatrzymał, co mu przysłano, gdyż jak twierdził, miał już dosyć biblii, a Fryderyk dosyć bitew. A tak gobeliny zostały, gdzie były. Następnie był wielki obiad u króla, przy którym był obecny książę Brunszwicki i wszyscy generałowie. Nazajutrz odbyły się manewry, którym przewodził książę Fryderyk Brunszwicki; dowcipny, garbaty i złośliwy człowiek. Wojska defilowały przed królem. Zauważyłem dwie rzeczy, mianowicie, że plutony maszerowały niedbale, prawie bezładnie, dopóki nie zbliżyły się do króla, ale zaledwie zakomenderowano „formuj się“, w mgnieniu oka wszystko było w porządku doskonałym. Drugie spostrzeżenie było, że król patrząc na wojska wzrokiem wytrzeszczonym, miał w wyrazie coś zastraszającego. Zaledwie jednak zwrócił się do swego otoczenia, oczy jego przybierały charakter słodyczy i uprzejmości.“

Po powrocie z Niemiec Poniatowski zwiedził interesującą kolonię Menonitów w Herrnhut, ufundowaną przez hr. Ziuzendorf. Zwiedził kopalnie Harzu, Monachium i kilka dworów w Turynii, Pragę i Wiedeń, a potem musiał wrócić znowu w wir spraw politycznych. Sejm zebrany w Grodnie, sprawa Ugrunowej, przypominająca sprawę „naszyjnika królowej“, podróż Katarzyny II i Stanisława Augusta do Kaniowa w r. 1787, ich widzenie się. uroczystości w Korsuniu, wreszcie widzenie się króla z cesarzem Józefem II, które skończyło się temi słowy cesarza:

„O wielez to rzeczy nie byłoby zaszło, gdybyśmy się byli znali dawniej. Ale przyrzekam, że dopóki ja żyję, Polska nie straci ani liścia z drzewa.“

Tyle przedmiotów, opowiedzianych w krótkości i wiele szczegółów interesujących a nieznanych. Oto kilka anekdot ze zjazdu Katarzyny II i Józefa II w Chersonie:

„Zastałem cesarza w Chersonie; traktował mnie z wielką dobrocią. Miałem z nim kilka konwersacyj, a mianowicie jedną długą bardzo, w ciągu której chodził szybkim krokiem wzdłuż swego pokoju tak długo, że nie wiem, jak mu nóg stało. Powiedział mi dwie rzeczy; najprzód, że jest już ułożone z caryką, że ja obejmę tron po królu i drugą, o wiele dziwniejszą wobec niedalekiej obecności cesarzowej, t. j. że niczego nie pragnie tak bardzo, jak całkowitego odbudowania Polski, że to



jest nieodzowne dla spokoju Europy, i że gdyby tylko dwa inne mocarstwa zgodziły się zrobić to samo, to on jest gotów oddać natychmiast Galicyę i wszystko, co Austria od Polski zabrała. Ta myśl wtedy zajmowała go ogromnie.

„Wystawiono wielki łuk tryumfalny, pod którym przejechała carowa w karecie złotej z wielką cyfrą wysadzaną dyamentami. Na tym łuku był umieszczony napis greckim charakterem. Pytałem się wielu osób, co to znaczy, ale nie rozumieli; posławszy więc do księdza dowiedziałem się, że napis ten miał znaczyć: „Tędy droga do Konstantynopola.“ Turcy z Oczakowa tem rozgniewani zaczęli przygotowywać flotę, która zaalarmowała Cherson. Księżę Potemkin, główny komenderujący w tych stronach i rzec można wice-król, zarzuciwszy tylko szlafrok wskoczył do karety wraz z księciem de Ligne i de Nassau i popędzili do Kinburn naprzeciw Oczakowa i przygotowali środki obrony, chociaż bardzo słabe, aby powstrzymać Turków.“

O Potemkinie opowiada Poniatowski jeszcze dwie anekdoty, malujące tę naturę szaloną i genialną, dziką i wyrafinowaną razem.

W dalszym ciągu pamiętników znajdujemy mnóstwo szczegółów ciekawych o wypadkach najważniejszych, które się zaznaczyły w historii ostatnich lat panowania Stanisława Augusta i niezależności państwa Polskiego. Księżę Stanisław niezadowolony z tego, że tak zwana demokratyczna partya ówczesna zyskiwała przewagę w kraju, sprzeciwiał się zapamiętałe niektórym nowym ustawom, znajdującym wielkie uznanie w opinii publicznej. Nadeszła niespodzianka „Konstytucyi 3. Maja 1791“. Księżę Poniatowski był wtajemniczony w tę wspaniałą reformę, która jednych przejmowała strachem, dla drugich była źródłem radości i uniesienia, która miała później stać się palladium nadziei i symbolem patriotyzmu. Ta „konstytucya“, jak inni mówili „rewolucya“, nie była do gustu synowcowi królewskiemu. Zwalczał lojalnie reformy, dopóki nie były uchwalone; gdy raz uchwała zapadła, bronił tej konstytucyi i nawet potrafił skłonić cesarza Leopolda, następcę Józefa II do wzięcia jej pod swoją opiekę. Może Konstytucya 3. Maja dotknęła jego miłość własną, jako przypuszczalnego następcy tronu, bo stanowiła dziedziczność tronu polskiego w dynastyi Saskiej. Gdy gmach cały zaczął się walić, nie kontent wyemigrował do Włoch. Nadechodził teraz grom za gromem: drugi rozbiór Polski, pierwsza walka o niepodległość, w której jego brat stry-

jeczny odniósł pierwsze laury, wreszcie po klęsce Kościuszki pod Maciejowicami trzeci i ostateczny rozbiór. Wielkie Państwo zostało wykreślone z politycznej karty Europy, król Stanisław August internowany do Grodna. Wszystkie dobra Poniatowskich zasekwestrowane, on sam dostał wezwanie, ażeby przybył do Petersburga, jeżeli nie chce, aby wszystkie jego ogromne dobra były skonfiskowane i rozdzielone całej czeredzie chciwych faworytów. Czy rząd rosyjski obawiał się protestu przeciw rozbirowi, czy wystąpienia Stanisława Poniatowskiego z pretensją dość uzasadnioną do tronu polskiego — nie wiadomo, faktem jest jednak, że powrócił, przejechał przez Warszawę, wstąpił do Grodna, do króla, a następnie przybył do Petersburga na dwór Katarzyny II. Przyjęła go serdecznie, chciała aby się osiedlił w Rosyi, chciała mu oddać w małżeństwo wielką księżniczkę Aleksandrę, której zamierzony związek z Gustawem szwedzkim się rozchwiał. Ale Poniatowski odrzucił te propozycje z wielką godnością, jemu chodziło tylko o własną niezależność. Na kilka dni przed śmiercią Katarzyny dobra zostały mu zwrócone.

Jeszcze dwa opowiadania o Katarzynie:

„Odwiedzałem często carową w tej pięknej wsi „Carskie Sioło“. Odbywano tam często długie spacery, po których zasiadano i rozmawiano o rzeczach, które były dla mnie bardzo ciekawe i pouczające. Rozumie się, że jedyny kraj, o którym nie mówiono, to była Polska, a najczęściej na porządku dziennym były sprawy sąsiadów od południa i od wschodu Rosyi, a te carowa знаła lepiej, niż ktokolwiek inny. Podczas tych rozmów przyjęcia się przeciągały niejednokrotnie — ale nie ku zadowoleniu tańczącej młodzieży.

„O Katarzynie II spotyka się często wyobrażenie, nie odpowiadające prawdzie. Oprócz wielkich okazji reprezentacyjnych jej rozmowa zwyczajnie bywała prostą, naturalną i bardzo pouczającą, nawet gdy była w otoczeniu najwykwintniejszych dyplomatów europejskich. Ktoś, coby jej nie znał, wziąłby ją za żonę jakiego burmistrza, lub bogatego i bardzo wykształconego przedsiębiorcy; tak lubiała, wyjść ze swej wielkiej roli, gdy tylko nie było konieczności.“

„Jedynie chwile, gdzie się spostrzeżało, że to jest potężna piastunka jedynowładztwa, były gdy mówiła o swoim Państwie; wtedy stopniowo rozpalala się ideą swojej wielkości: gdy mówiono o Państwie, władajacem piątą częścią świata, o tem, że

Europa była zaludnioną od Wschodu, czyż ten Wschód, to nie Rosya? i t. d. Ażeby być na równej skali, dobrze było wyprowadzać jeszcze bardziej kolosalne pomysły, ale na szczęście okazy takie nie były częste.

„Dnia 17 listopada r. 1796, o godzinie dziewiątej rano carowa została tknięta apopleksją. Nigdy nie wydawała się być w lepszym stanie zdrowia; ale lekarz jej Rodgerson miał obawy i namawiał ją, by sobie dała krew puścić. Ona odpowiedziała: „Dajcie mi skończyć we czwartek jedną drobną sprawę, a potem róbcie ze mną co chcecie“. Tą drobną sprawą było podpisanie dnia tego rano układu poczwórnego aliansu i równocześnie ekspedycya 80.000 armii przeciw Francyi. Wieleż wypadków zależało od tego drobnego szczegółu podpisania i od tych dwóch dni jej życia!“

Ale ograniczmy się na tem. Reszta „Pamiętnika“ Poniatowskiego opowiada wstąpienie na tron i pierwsze miesiące panowania cesarza Pawła I. Gdy tylko to było możliwem, Poniatowski sprzedał całą swoją własność na terytoryum polskiem i wyjechał do Włoch, gdzie przez następnych trzydzieści lat żył w zupełnem odętwieniu i beczynności, z której nie mogły go wyrwać ani fanfary tryumfów Napoleona, „tego wichrzyciela spokoju Europy“, jak go nazywał pięknym zwrotem drzemiący filozof, ani traktat wiedeński i oddanie cząstki starego królestwa jego stryja. Dla Napoleona nie miał zaufania, na jego propozycye odpowiedział odmownie. W końcu swego życia poróżnił się z dworem rzymskim z powodu spraw małżeńskich.

Jego rola polityczna skończyła się dawno. Oczami starca mógł jeszcze zobaczyć — ale może już nie miał władzy zrozumienia tego — że straciwszy byt polityczny, naród Polski odradzał się potężnie do nowego życia. Umarł w r. 1833 jako człowiek zapomniany od wszystkich.

\* \* \*

Przy tłumaczeniu tych „Pamiętników“ na język polski doznawałam wrażeń tak wzburzających, że nie mogę się powstrzymać od wyrażenia ich choć w kilku słowach.

Co w języku francuskim kryło się pod formą pięknego frazesu, nie da się tak popłatać, gdy się pomyśli po polsku, nie da się otoczyć sentymentem fałszywym — ale podle dźwięczy. Pokazuje zatruty stan duszy tą nieszczęsną atmosferą

oświecenia francuskiego, które dając pewne światło zimne dla umysłu, równocześnie zgnilizną toczy serce i charakter. I dlatego nastaje to ubezwładnienie, które przygniatało oświeconą warstwę ówczesnego społeczeństwa polskiego.

Dręczył ich stan Ojczyzny, chcieliby, by było inaczej, próbują pięknym listem lub dowcipną rozmową nakłonić Katarzynę lub Repnina, aby łaskawiej traktowali Polskę, wychwalają ich „bonté“, dziękują pokornie za przyzwolenie na uchwały Sejmu Mokronowskiego — i korzą podle.

Musieli czuć tę bezwładność, bo pogardzili pomocą własną, stracili wiarę we własne siły (które mogły być bardzo wielkie) i we własną tradycję, poważając tylko mądrość, światło obce.

Z tego rozdarcia serca i umysłu wynikała ta bezwładność, a w dalszym ciągu ta bezdenna niekczemność. Kiedy Polska jest nad przepaścią, tyle najważniejszych spraw krajowych do załatwienia — bratanek królewski robi w kilku latach majątek „największy w Europie“ (dostając notabene od króla najbogatsze starostwa Kaniowskie i Bohusławskie, dzierżawę „Ekonomii Litewskich“, przynoszącą milion zł. pol. dochodu, dalej starostwo Szadow wartości dziesięciu milionów, zwrot kosztów utrzymania pułku siedm kroćtysięcy i t. d. i t. d.).

Kiedy godny swęga stryja bratanek zbija ten majątek i „pięćkroćtysięcy ludzi ma do dyspozycji“ — Polska ginie z braku skarbu publicznego i z braku wojska.

To też naprzemian ogarniało mnie uczucie oburzenia, to politowania, kiedy tłómacząc te marne słowa królewskiego bratanka wymyślałam się w to poczucie bezwładności, którego oczywiście ludzie jego sfery doznawali.

*H. S.*



## Metafizyka duszy.

Ze wszystkich teorii, dotyczących się duszy ludzkiej, najosobliwszemi niezawodnie są te, które zgoła istnienia duszy nie uznają. A jeżeli pod duszą rozumiemy podmiot nie materialny, substancję niecielesną zjawisk umysłowych, wtedy do rzędu tych teorii zaliczyć musimy nie tylko naukę Fechnera, nie uznającą istnienia jakichkolwiek substancji, lecz także materializm, twierdzący, iż podmiot zjawisk umysłowych jest czemś materialnym, cielesnym. Materialiści i paraleliści (tak bowiem nazywają dziś zwolenników Fechnera, choć tenże sam naukę swą mienił synechologią) nie znają duszy; a jeżeli się tym wyrazem posługują, czynią to tylko dla określenia pewnej jednolitej całości zjawisk umysłowych, tych właśnie, które każdy uważa za swoje własne.

Jak przy głosowaniu nad rozmaitemi wnioskami zaczyna się zwykle od najdalej idącego, tak i w ocenie teorii filozoficznych o podmiocie zjawisk umysłowych, o naszym „ja“, najlepiej zacząć od zapatrywania najskrajniejszego. A więc, czy zdanie, jakoby nie istniał wcale podmiot naszych objawów duchowych, jest słusznem? Czy możemy się obejść bez substancji, której akcydensami byłyby wszystkie zjawiska, składające się na nasze życie umysłowe? Czy możemy twierdzić z Hume'm i Fechnerem, że istnieją tylko następujące po sobie zjawiska, ujęte w jedną całość samowiedzą i pamięcią? Fechner nadzwyczaj zrećnie broni tego zapatrywania, a gdyby się ono miało okazać słusznem, pociągnęłoby za sobą wielkie uproszczenie licznych teorii metafizycznych. A jednak, zdaje mi się, argumentacja Fechnera nie prowadzi do zamierzonego celu.

Wedle Fechnera w świecie umysłowym nie istnieje nic, prócz stanów świadomości następujących po sobie czasem bez przerwy, czasem z większemi lub mniejszemi przerwami, spo-

wodowanemi snem i t. p. Każdy taki stan obejmuje zazwyczaj kilka zjawisk: n. p. wrażenie zmysłowe i przywiązane do niego uczucie (widok osoby i uczucie nienawiści ku niej). Fechner, odrzucając podmiot tych zjawisk, stara się nam wytłómaczyć, skąd dochodzimy do przekonania o jedności każdego takiego stanu świadomości i do przekonania o tożsamości jakiegoś (urojonego wedle Fechnera) „ja“, trwającego niezmiennie mimo różnych następujących po sobie stanów świadomości.

Dotyczące wywody Fechnera są zupełnie trafne i nie można przeciwko nim podnieść żadnego zarzutu. Mimo to chybają właściwego celu. Albowiem Fechner zapomina, iż winien nam odpowiedzi, nie na pytanie, skąd dochodzimy do przekonania o jedności i tożsamości naszego „ja“, lecz na pytanie, czy to przekonanie jest słusznem lub mylnem. Twierdząc, iż jest mylnem, a wykazując jego powstanie, mniema Fechner, że dowiódł, iż jest mylnem.

Byłoby jednak możliwem, że Fechner, mimo iż swego twierdzenia nie udowodnił, ma słuszość. Zdarza się bowiem nieraz, że jeden uczony stawia jakieś twierdzenie, nie popierając go dowodem, a że dopiero inny uczony dowodu tego dostarcza. Nie trzeba brać brak dowodu za znak fałszu. Jakże się więc rzecz ma w naszym wypadku? Jak stanąć wobec kwestyi, czy istnieje podmiot zjawisk umysłowych, czy „ja“ nasze jest czemś innem, jak całością pewnych zjawisk umysłowych, czemś niezmiennie trwałem wśród zmiennych objawów życia duchowego?

Odpowiadam, że „ja“ takie istnieje; ale przyznaję, że nie jestem w stanie podać jakikolwiek dowód istnienia tego „ja“. Albowiem istnienie mego „ja“ należy dla mnie do tych prawd, które są bezpośrednio oczywiste. A prawdy takie nie mogą być udowodnione, ale też nie potrzebują być udowodnionemi. Nikt nie wymaga dowodu na to, że nie istnieje koło kwadratowe; albowiem jest rzeczą bezpośrednio oczywistą, iż coś podobnego istnieć nie może. A równie bezpośrednio oczywistem jest przekonanie o własnym byciu. Nie twierdzą tu nic nowego. Św. Augustyn, a po nim Kartezysz wypowiedzieli to już dawno; a ten ostatni sformułował tę prawdę w zdaniu: „Myślę, a więc jestem.“ Znaleźli się później arcy mądrzy ludzie, którzy mówili: Ściśle rzecz biorąc, bezpośrednio oczywistem jest tylko istnienie mojego myślenia, ale że poza tem myśleniem istnieje jakiś podmiot tego myślenia, jakies „ja“, które myśli, to już jest dowolnem twierdzeniem. Ich zdaniem nie powinniśmy właściwie mówić „ja myślę“ (ich denke), lecz tylko „myśli“ (es denkt), tak jak mówimy „grzmi“ (es donnert),

nie przesądzać tym sposobem kwestyi, co myśli i czy istnieje coś myślącego, coby nie było sam myśleniem. Na to mogę tylko powiedzieć: „Habeant sibi!“ Jeżeli ktoś przeczy, jakoby istniał, wtedy nie wiem, na co mam przekonywać kogoś, co nie istnieje. A gdy ten nie istniejący ktoś mi powie, że „on“ wprawdzie nie istnieje, ale że natomiast istnieje jakaś grupa wrażeń, myśli, uczuć i t. p., pragnąca ze mną prowadzić dyskusyą filozoficzną, wtedy może powstać niebywały jeszcze dyalog. Ta grupa wrażeń i t. d. twierdzi bowiem, że to, co ludzie nazywają swoim „ja“, jest tylko taką jak ona grupą zjawisk umysłowych. A więc, gdy zechce się wyrażać ściśle, nie śmie używać zaimku pierwszej osoby, lecz może o sobie mówić jedynie właśnie jako o grupie zjawisk umysłowych. A dyalog nasz będzie wtedy brzmiał mniej więcej tak:

Ja. Niechże mi grupa zjawisk umysłowych powie, skąd grupa wie, że jakieś zjawisko umysłowe do niej należy, a nie jest częścią innej jakiejś grupy zjawisk umysłowych?

Grupa zjawisk umysłowych: Każda grupa zj. um. wie o tem stąd, że zjawiska umysłowe własne bezpośrednio spostrzega za pomocą doświadczenia wewnętrznego; o innych zaś, nie należących do niej zjawiskach umysłowych dowiaduje się jedynie na drodze wnioskowania.

Ja. Zgadzam się zupełnie; ale niech mnie grupa zj. um. zechce pouczyć, czem jest owo postrzeżenie wewnętrzne, któremu każda grupa zawdzięcza tak ważne dla niej wiadomości?

Grupa zj. um. Każde postrzeżenie wewnętrzne jest także tylko jednym z licznych zjawisk umysłowych, składających się na taką grupę, którą ludzie zwykle mianują swoim „ja“.

Ja. Slicznie. Ale skąd grupa wie, że to postrzeżenie wewnętrzne należy właśnie także do tej samej grupy zjawisk umysłowych, z którą mam zaszczyt prowadzić tak pouczającą dla mnie konwersacyą?

Grupa zj. um. Wie o tem poprostu stąd, że i to postrzeżenie wewnętrzne jest dla niej przedmiotem wewnętrznego postrzeżenia.

Ja. Czy te dwa postrzeżenia wewnętrzne są jednym, czy dwoma postrzeżeniami?

Grupa zj. um. Oczywiście dwoma, gdyż pierwsze z nich poucza grupę o należących do niej zjawiskach z wyjątkiem właśnie tego jednego, które ją o tem poucza; drugiemu zaś postrzeżeniu wewnętrznemu grupa zawdzięcza wiadomość o tem, że i owe pierwsze postrzeżenie należy do tej samej grupy.

Ja. Rozumiem. Ale o tem, że i to drugie postrzeżenie należy do tej samej grupy zjawisk umysłowych, której częścią jest pierwsze, grupa skąd się dowiaduje?

Grupa zj. um. Rzeczą jasną, że od podobnego dwom pierwszym, trzeciego postrzeżenia.

Ja. A więc mógłbym tak samo dalej się pytać. Dziękuję grupie za gotowość, z jaką mi dała powyższe objaśnienia. Wiem już, że tym sposobem żadna grupa nigdy się nie dowie, jakie zjawiska do niej należą, gdyż na to, aby się o tem dowiedzieć, musiałaby nieskończoną ilość następujących po sobie postrzeżeń wewnętrznych zrobić; a na to trzebaby jej czasu nieskończenie długiego.

Grupa zj. um. Widzę, że sposób podany przezemnie nie prowadzi do celu. A więc stawiam hipotezę, że już pierwsze postrzeżenie wewnętrzne, pouczając grupę o tem, jakie zjawiska do niej należą, poucza ją równocześnie o tem, że samo też do niej należy.

Ja. Zgadzam się na ten wykręt, który grupa tak ładnie nazwała hipotezą. Ale pozostaje jeszcze jedna wątpliwość, którą swym ograniczonym rozumem nie umię sobie wyjaśnić. Grupa twierdzi, że ona się za pomocą postrzeżenia wewnętrznego o czemś dowiaduje. A przecież ta grupa nie jest czemś, coby miało byt samoistny obok zjawisk, z których się składa, lecz jest tylko ilością mniejszą lub większą zjawisk. Więc, ściśle się wyrażając, trzebaby powiedzieć, że pewna ilość zjawisk dowiaduje się od jednego z tych zjawisk, mianowicie od postrzeżenia wewnętrznego, że składa się z pewnej ilości zjawisk.

Grupa zj. um. Widzę, że jesteś pojętym bardzo niezmiernie.

Ja. Dziękuję grupie za komplement. Żałuję, że grupie nic podobnie pochlebnego powiedzieć nie mogę. Wszak ilość nie jest niczem, prócz pojęciem oderwanem?

Grupa zj. um. Tak jest.

Ja. A więc jeszcze nie dość ściśle wyrażamy się, mówiąc, że ilość pewna zjawisk umysłowych o czemś wie; powinniśmy mówić, że zjawiska w liczbie dziesięciu n. p., a tworząc jedną grupę, dowiadują się o czemś.

Grupa zj. um. Słusznie.

Ja. Gdy więc zjawiska, składające się na grupę, z jaką w tej chwili rozmawiam, rozumieją to, co ja mówię, czy zrozumienie to ma miejsce raz tylko, czy tyle razy, ile jest zjawisk, a więc dajmy na to 10 razy?

Grupa zj. um. Oczywiście raz tylko, a dzieje się to tym sposobem, że na każde z tych dziesięciu zjawisk przypada



jedna część zrozumienia, które to części składają się na jedno, całkowite zrozumienie.

Ja. Czołem! Takie pojmowanie rzeczy wiele bardzo tłumaczy; tłumaczy bowiem także, dlaczego nie mogę całkowicie zrozumieć twierdzenia tych, co utrzymują, że nie istnieją i że „oni“, to tylko grupy zjawisk umysłowych. Widocznie brak mi jakiegoś zjawiska umysłowego, w którym by tkwiła jeszcze jakaś część zrozumienia, potrzebna do tego, aby ono było całkowitem. Niechże jednak grupa szanowna przebaczy, że mimo to zadam jej jeszcze pytanie. Albowiem nie rozumię, jakim sposobem zjawiska umysłowe w liczbie dziesięciu wiedzą o tem, że te części zrozumienia, rozłożone po jednej w każdym z tych zjawisk, należą do siebie i tworzą jedną całość, jedno całkowite rozumienie. Wszak ta wiedza o tem także jest tylko jedną i składa się sama z części dziesięciu, rozmieszczonych po jednej w każdym zjawisku?

Grupa zj. um. Rzecz pewna.

Ja. Wtedy jednak potrzeba nam drugiej wiedzy, pouczającej te zjawiska umysłowe o tem, że tkwiące w każdym z nich części owej pierwszej wiedzy, tworzą jedną całość; a o tej drugiej wiedzy trzeba powiedzieć to samo, co o pierwszej i t. d. in dulce infinitum! A więc nigdy zjawiska umysłowe, składające się na oto tę rozmawiającą ze mną grupę, niczego nie wiedzą, gdyż każde z nich posiada wprawdzie jakąś część wiedzy, ale nie tych części nie układa w jedną całość. Na to bowiem trzeba by nieskończenie wiele aktów wiedzy, a na nie znowu nieskończenie długiego czasu. Z tego prosty wniosek, że rozmawiałem wprawdzie ze zjawiskami umysłowymi w liczbie dajmy na to dziesięciu, ale że te zjawiska mnie nie rozumiały, gdyż warunkiem zrozumienia jest wiedza o przynależności wzajemnej poszczególnych części zrozumienia, a wiedza taka nigdy osiągnięta być nie może. A co za tem idzie, to to, że te zjawiska wogóle o niczem wiedzieć nie mogą; dlatego też bez najmniejszego skrupułu kończę z nimi rozmowę, nie żegnając się i nie dziękując, gdyż zjawiska te o niczem nie wiedzą, nie wiedzą, czy mówię z nimi dalej lub nie, czy się z nimi żegnam lub nie. — Koniec dyalogu.

W ten mniej więcej sposób można tych doprowadzić ad absurdum, co utrzymują, że ich „ja“ nie jest niczem innym, jak zbiorowiskiem, grupą zjawisk umysłowych. Trzeba ich tylko przycisnąć do muru, trzeba ich dopilnować, aby wyrażali się w sposób, wypływający konsekwentnie z ich założenia, a wtedy można sobie dać z nimi radę. Fechner, a za jego przykładem Wundt, posługują się w swych wywodach, którymi chcą

wykazać, iż nie istnieje dusza, jako podmiot zjawisk umysłowych, właśnie tym wyrazem „dusza“. Wprawdzie utrzymują, że tem słowem oznaczają jedynie grupę, pewną całość zjawisk umysłowych, nie więcej, ale mimowoli podsuwają temu wyrazowi jego znaczenie pierwotne i tym sposobem usuwają sobie sami z pod uwagi trudności nie do zwyciężenia, jakie powstają, gdy się pod duszą, pod naszym „ja“ chce zrozumieć jedynie pewną ilość następujących po sobie lub równoczesnych zjawisk umysłowych. Ktokolwiek się nie ludzi słowami czczemi, a stara się wniknąć do gruntu w tę cokolwiek subtelną kwestyę, ten nie potrafi na seryo twierdzić, że jego „ja“ nie jest niczem, jak mianem zbiorowem dla pewnych zjawisk umysłowych.<sup>1)</sup>

Ergo sum. Jestem, istnieję nie jako grupa zjawisk umysłowych, lecz jako podmiot, z którego się te zjawiska wyłaniają. Przekonanie o jedności i o tożsamości mego „ja“ nie kłamie, mówiąc mi, że spostrzegane przezemnie zjawiska umysłowe odnoszą się do jednego jedyne go „ja“, trwającego wśród zmiennych i coraz to nowych objawów życia duchowego. A kto przeczy temu, kto mniema, iż wie, że podmiot taki nie istnieje, ten sam sobie się sprzeciwia, gdyż z jego rzekomej wiedzy wypływa konsekwencya, iż on żadnej nie może posiadać wiedzy.

\* \* \*

Przekonawszy się, iż zjawiska umysłowe posiadają podmiot, do którego przynależą jako akcydensy do substancyi, musimy się zapytać, jakim jest ten podmiot. Wewnętrzne doświadczenie podmiotu nam nie okazuje; spostrzegamy tylko zjawiska; ale może rodzaj tych zjawisk razem z faktem jedności świadomości i tożsamości naszego podmiotu pozwoli nam na drodze wnioskowania orzec coś o właściwościach tego pod-

---

<sup>1)</sup> Nie od rzeczy może będzie przytoczyć słowa Wiktora Cousin, tyczące się tej kwestyi. Brzmią one: Dira-t-on, que le moi, c'est la pensée même, c'est-à-dire la sensation, le jugement etc., reunis dans une unité collective, qu'on appelle moi? Mais je sens et je sais, certissima scientia et clamante conscientia, que, quoique la pensée, le souvenir, la sensation ne soient pas sans le moi, le moi n'est pas seulement un lien logique et verbal, inventé pour exprimer leur union, mais quelque chose de réel, qui unit les pensées et en forme une chaîne continue, en tant, qu'il est dans chacune d'elles identique au milieu de leur diversité... Je sais, qu'il n'est pas vrai, que la sensation ou le souvenir ou le désir, dans un certain degré de vivacité, deviennent moi. mais que c'est moi, qui constitue la sensation ou le désir, en m'ajoutant à un certain mouvement, à des certaines affections sensibles, qui ne s'intellectualisent en quelque sorte et ne deviennent pour moi sensation ou désir qu'autant que j'en prends connaissance. (Fragments philosophiques.)

miotu. Zamiast więc badać kolejno, czy materyaliści, lub moniści, albo inni mają słuszność, polecając swoje określenie podmiotu jako jedynie prawdziwe, będziemy się starali wprost o wykrycie takich cech podmiotu, któreby eo ipso rozstrzygnąć nam pozwoliły, czy nasze „ja“ należy pojmować w duchu tej lub owej szkoły filozoficznej.

Jako punkt wyjścia obieramy znowu fakt niewątpliwy, znany nam dobrze z doświadczenia wewnętrznego. Zdarza się często, iż dwa przedmioty ze sobą porównujemy. Gdy n. p. przekonywujemy się, że równocześnie coś słyszymy i widzimy, przekonanie to opiera się na porównaniu czasu, w którym się odbywa wrażenie wzrokowe, i czasu właściwego wrażeniu słuchowemu. Porównujemy więc jedno wrażenie z drugim ze względu na czas, w którym mają miejsce i dochodzimy do przekonania, że czas ten dla obu wrażeń ten sam. Mamy więc cztery odrębne zjawiska umysłowe: 1. wyobrażenie barw i kształtu (wrażenie wzrokowe), 2. wyobrażenie dźwięku (wrażenie słuchowe), 3. czynność porównania, 4. sąd, iż oba wrażenia równoczesne. Nam wystarczy zwrócić uwagę na pierwsze trzy zjawiska.

Otóż fakt, iż porównujemy ze sobą zjawiska umysłowe, jakimi są w naszym wypadku wrażenia wzrokowe i wrażenia słuchowe, sam ten fakt niewątpliwy pozwala nam twierdzić z wszelką stanowczością, iż podmiot tych zjawisk jest pojedynczym, że się nie składa z części; a twierdzenie to można udowodnić za pomocą rozumowania, przeciwko któremu nie można podnieść żadnego zarzutu. Jeżeli bowiem przypuścimy, że podmiot składa się z części i każde zjawisko umieścimy w jednej części, wtedy porównywanie zjawisk staje się niemożliwym. Można tę doniosłą prawdę wykazać w ten sposób. Zjawisko umysłowe, oznaczone liczbą 1, niechaj się mieści w części A podmiotu, zjawisko, oznaczone liczbą 2, niechaj tkwi w części B podmiotu. Gdzież więc umieścić zjawisko, oznaczone liczbą 3, sam akt porównywania? Jeżeli je umieścimy w części A, będzie mu przystępnem tylko zjawisko 1, a więc wrażenie wzrokowe; nie będzie mu jednak przystępnem zjawisko 2, z którym zjawisko 1 ma być porównanem. A jeżeli je umieścimy w części B, będzie mu przystępnem jedynie zjawisko 2, wrażenie słuchowe, z wykluczeniem zjawiska 1, a więc znowu zabraknie drugiego zjawiska do porównania niezbędnego. Pozostają jeszcze dwie możliwości: można umieścić zjawisko 3, porównywanie, albo w obu częściach, A i B, albo w trzeciej jakiejś części C. W pierwszym wypadku znowu by nie mogło nastąpić porównanie, gdyż każde z tych mających powstać porównań, znalazłoby się tylko wobec jednego wra-

żenia; na to jednak, by mózż porównywać, trzeba dwóch przedmiotów. Ale i w drugim wypadku porównanie nie może mieć miejsca, gdyż należąc do innej części podmiotu, aniżeli mające być porównane wrażenia, nie może nic o tych wrażeniach wiedzieć. Gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości w tym względzie, ten niechaj rozważy, że rozdzielając na trzy części podmiotu zjawiska, które mają być porównane ze sobą i samo zjawisko porównania, mamy do czynienia z trzema podmiotami częściowymi, z których część A widzi, część B słyszy, część C porównuje to, co widzi A, z tem co słyszy B, czego jednak część C ani widzi, ani słyszy. Więc C, nie widząc żadnej barwy, którą widzi tylko A, i nie słysząc żadnego dźwięku, który słyszy jedynie B, ma na podstawie własnego, wewnętrznego doświadczenia orzec, czy wrażenie barwy i wrażenie dźwięku są równoczesnymi. Z takim samym prawem możnaby od kogokolwiek zażądać, by za pomocą wewnętrznego doświadczenia porównywał ze sobą myśli dwóch osób, pomiętły któremi siedzi. Aby porównanie mogło przyjść do skutku, potrzeba, by ta sama część podmiotu, która ma porównywać, posiadała także zjawiska, które mają być porównane ze sobą. C tylko wtedy potrafi porównać jakieś wrażenie słuchowe z wrażeniem wzrokowym, jeżeli samo C te dwa wrażenia odbiera, jeżeli one są jego własnymi wrażeniami. To znaczy, że podmiot zjawisk porównanych ze sobą musi być identyczny z podmiotem porównania; nie może tkwić porównanie w innym podmiocie częściowym, aniżeli to, co bywa porównaniem. A ponieważ możemy porównywać przynajmniej ze względu na czas, w którym się odbywają, każde z naszych zjawisk umysłowych z każdym, więc wszystkie nasze zjawiska umysłowe w jednym i tym samym tkwić muszą podmiocie. A choćbyśmy przypuścili, że nasze „ja“ składa się z licznych części, to mimoto wszystkie nasze zjawiska umysłowe musielibyśmy przypisać jednej tylko części niepodzielnej już, gdyż w tej chwili, w której zjawiska umieścimy w rozmaitych częściach, porównanie między nimi staje się z przytoczonych powodów niemożliwym. A wtedy właściwym podmiotem, właściwym naszym „ja“ będzie właśnie owa część tamtego złożonego podmiotu, gdyż podmiotem naszych zjawisk umysłowych nazywamy właśnie to, w czem one tkwią. Więc niema wątpliwości, że to, co widzi, słyszy, porównuje, sądzi i t. d., że podmiot tych czynności duchowych, że nasze „ja“ jest pojedynczem, że nie składa się z części.

Na podstawie osiągniętego wyniku, że podmiot zjawisk umysłowych jest niepodzielny, możemy orzec, że każdy kie-

runek filozoficzny, przyjmujący podmiot złożony z części, należy odrzucić jako fałszywy, niezgodny z wnioskami, wyprowadzonymi z oczywistych faktów. A więc błędnym jest materyalizm, błędnym też monizm Häckla, gdyż obaj uczą, że podmiotem zjawisk umysłowych jest mózg, złożony z niezliczonych atomów. Nie wiem, na co sobie niektórzy zadają tyle pracy, aby z wszelką dokładnością zbijać jeden argument materyalistyczny lub Häcklowski po drugim. Wystarczy zupełnie wskazać na fakt niezaprzeczalny, iż zjawiska umysłowe ze sobą porównujemy i na wynikającą stąd niepodzielność podmiotu tych zjawisk, aby zmusić Büchnera i Häckla do odwrotu. Niech się oni uporają z tym faktem, nie sprzeniewierzając się swym teoryom. Ale właśnie oni nie śmia mu zajrzeć w oczy. Konstatauję tutaj z wszelkim naciskiem okoliczność wielce znamionną, że żadne dzieło, broniące materyalizmu lub monizmu Häckla, nie starało się o pogodzenie tych teoryj z faktem, z którego wysnuliśmy przekonanie o pojedynczości naszego „ja“. Omijali tę kwestyą, jak djabeł wodę święconą, a jeżeli przez takie postępowanie nie zasłużyli na zarzut złej woli, to z pewnością okazali wielką niesumienność. Jak długo będą stronili od poruszenia tej właśnie kwestyi, tak długo nie mogą mieć pretensyi, by ich uważać za poważnych badaczy, którym jeden tylko cel powinien w pracy przyświecać: wykrycie prawdy.

Tym sposobem, będąc zmuszeni odrzucić tak zdanie tych, co przeczą istnieniu podmiotu, jak i tych, co upatrują go w mózgu ludzkim, uzyskaliśmy nadwyżkę po stronie nieśmiertelności. Albowiem wszystkie poglądy na istotę podmiotu, z którymi się nieśmiertelność duszy pogodzić nie daje, okazały się błędnymi. Pozostały tylko te kierunki, które albo wprost za nią przemawiają, jak monadologia, albo jej się przynajmniej nie sprzeciwiają, lub nawet, gdy uzupełnimy je preegzystencją, na równi co do przekonania o nieśmiertelności stają z monadologią.

Nadwyżka ta, na razie może nie bardzo wielka, nabiera donioślejszego znaczenia, gdy zważymy, że i monizm w znaczeniu Spinozy lub Hartmanna z faktami pogodzić się nie daje. Wedle tych filozofów istnieje tylko podmiot jeden i jedyny dla zjawisk umysłowych wszystkich ludzi. Wolno się zatem zapytać, dlaczego te zjawiska wszystkie o jednym wspólnym podmiocie nie łączą się z sobą w jedną całość, tworząc tym sposobem jedną tylko osobę o nader licznych zjawiskach umysłowych? A choćby nam dano na to odpowiedź zadawalniającą, to istnieje inna większa trudność, tak wielka, że o nią

się rozbija cały monizm. Tę trudność stanowi fakt, że często jeden człowiek właśnie temu zaprzecza, co drugi twierdzi. N. p. jeden mówi: „dusza jest nieśmiertelna“, a drugi mówi: „dusza jest śmiertelna“. Ponieważ wedle Spinozy i Hartmanna ci dwaj ludzie, różniący się tak w swych zapatrywaniach, mają jeden wspólny podmiot, a więc ten podmiot nazwany przez Spinozę Bogiem, przez Hartmanna Nieświadomem, zapatrywałby się na tę samą rzecz na dwa sposoby wręcz sobie przeciwne. A więc Bóg, lub absolut nieświadomy twierdziłby i przeczyłby równocześnie przez usta swych dwóch objawów w kształcie ludzkim, jakoby dusza była nieśmiertelną! To już chyba istna niedorzeczność!

Pozostaje więc do wyboru: monadologia, spirytualizm i dualizm; a dwa na ostatniem miejscu wymienione kierunki mogą być uzupełnione preegzystencją, albo bez niej wyznawane. Gdyby istniał sposób, za pomocą którego możnaby wykazać, iż należy wybrać monadologią, a odrzucić spirytualizm lub dualizm, kwestya nieśmiertelności byłaby rozstrzygnięta. Ze spirytualizmem możnaby sobie może jeszcze dać radę; ale na nie się to nie przyda, jeżeli nie możemy rozstrzygnąć spór systemów filozoficznych na korzyść monadologii, gdyż pozostanie zawsze jeszcze wybór między monadologią a dualizmem, a dualizm sam z siebie o nieśmiertelności nie nie stanowi. Nie znam zaś żadnych argumentów, któreby nas zmuszały do przyjęcia monadologii, a odrzucenia dualizmu, tak samo, jak nie znam argumentów, któreby przemawiały za dualizmem, a sprzeciwiały się monadologii. Nie nas mojem zdaniem nie uprawnia, byśmy odrzuciwszy dualizm, stanęli po stronie monadologii i z tego stanowiska, przemawiającego wprost za nieśmiertelnością, orzekli, iż dusza jest nieśmiertelna.

A więc zdaje się, iż niema tu wyjścia. Uzyskaliśmy wprawdzie nadwyżkę po stronie nieśmiertelności, wykazawszy, że wszystkie kierunki filozoficzne, z których wynika śmiertelność, są błędne. Ale ponieważ nie możemy wykazać, że i dualizm jest błędny, z którym równie dobrze można pogodzić śmiertelność jak nieśmiertelność duszy, więc nadwyżka uzyskana zdaje się być za małą, by stanowczo wagę przechylić na stronę nieśmiertelności.

A jednak tak nie jest. Albowiem chociaż brak nam argumentów, by móżdż stanowczo zgodzić się na monadologią lub dualizm, możemy w kwestyi nieśmiertelności uczynić jeszcze jeden i to decydujący krok naprzód. A mianowicie w następujący sposób:

Rozumowaniem nie dającym się obalić, opartem na faktach niewątpliwych dowiedliśmy, że podmiot zjawisk umysłowych, że nasze „ja“ jest czemś niepodzielnem. Jest ono więc tak samo ostatecznym pierwiastkiem w świecie zjawisk umysłowych, jak atomy są ostatecznymi pierwiastkami w świecie zjawisk zmysłowych. Tu kres analizy naukowej, która jest wprawdzie w stanie wykazać, jak z połączenia niepodzielnych pierwiastków powstają przedmioty i jak giną, rozkładając się znowu na pierwiastki, która atoli nie jest w stanie wytłómaczyć ani powstania, ani zaniku niepodzielnych tych pierwiastków i widzi się wskutek tego zmuszoną twierdzić, że te pierwiastki są wieczne, że zawsze istniały, zawsze istnieć będą. Materya, mówi nauka, jest wieczna. A to samo rozumowanie, co prowadzi nas do przekonania o wieczności pierwiastków materialnych, przekonuje nas o tem, że niema sposobu wytłómaczyć na drodze naturalnej, t. j. za pomocą sił przyrodzonych, działających w wszechświecie, powstawanie pierwiastków umysłowych dusz. A więc tradycyanizm, przyjmujący właśnie takie tłumaczenie powstawania dusz, jest ze stanowiska naukowego niekonsekwencyą.

Twierdząc, że niepodzielne pierwiastki bytu są wiecznymi, nauka właściwie niczego nie tłumaczy. Uznaje tylko, że co do powstania tych pierwiastków nie jest w stanie orzec. Umysł ludzki nie umie się jednak zadowolnić takim stanem rzeczy. Albowiem dziwnem mu się wydać musi, że te pierwiastki same z siebie, o własnych siłach mają istnieć ciągle, bez wszelkiej przyczyny. Umysł ludzki o Bogu tylko jest w stanie uwierzyć, że bez przyczyny istnieje; wszystko inne, co jest, musi mieć przyczynę, a co jej niema w siłach przyrodzonych, ma ją w Bogu. W ten sposób jedynie można dojść do zadawalniającego rozum nasz poglądu na całość istniejących rzeczy. A więc mówimy, że pierwiastki niepodzielne, atomy i dusze, nie powstały wskutek działania chemicznych, mechanicznych, lub organicznych albo umysłowych sił — gdyż siły te istnieć nie mogą przed owymi pierwiastkami — lecz, że zawdzięczają swe istnienie Bogu, który je stworzył.

Mógłby mi tu ktoś zarzucić, iż sam się sobie sprzeciwiam, twierdząc, że atomy i dusze są przez Boga stworzone, podczas gdy przedtem powiedział, iż są wieczne. Ale sprzeczność jest tylko pozorną, a znika, jeżeli ściśle określimy pojęcie stworzenia. Stworzonym nazywamy to, co nie powstaje wskutek działania sił przyrodzonych, lecz zawdzięcza swe istnienie bezpośrednio Bogu. A wtedy coś może być stworzonym, a przeciwieństwie wiecznemu w zwykłym tego słowa znaczeniu. Albowiem jest

rzeczą możliwą, że coś, co zawdzięcza swój byt czemuś innemu, nie jest od niego późniejszym. Jak światło, mające swój początek w płomieniu i jemu zawdzięczające swoje istnienie, nie powstaje później od płomienia, lecz istnieje w każdej chwili, w której istnieje płomień, tak samo i pierwiastki, zawdzięczające swe istnienie Bogu, mogą istnieć tak długo jak Bóg istnieje, a więc „wieczne“, w potocznym tego wyrazu znaczeniu. Przyznając więc atomom i pierwiastkom istnienie wieczne, nie przeczyśmy bynajmniej, iż przez Boga zostały stworzone.

Ale wieczność nie jest czasem nieskończonego długim, lecz nieobecnością czasu. Jak bezbarwność nie jest jakąś nieokreśloną barwą, lecz brakiem wszelkich barw, jak cisza nie jest tonem pewnym, lecz brakiem wszelkiego dźwięku, tak wieczność nie jest jakimś nieograniczonym czasem, lecz zupełną nieobecnością czasu. Mówiąc o Bogu, że był zawsze i będzie zawsze, wyrażamy się zupełnie niewłaściwie, albowiem Bóg nie jest zgoda w czasie, tak jak nie jest w przestrzeni, nie posiada kształtu, ani barwy. Czas jest tak samo jak barwa czemś, co powstaje w naszym umyśle na podstawie jego organizacji. Umysł ludzki stwarza sam pojęcie czasu, a nie został w czasie stworzonym. Czas istnieje tylko w umyśle naszym, a gdzie niema takiego umysłu żyjącego wśród pewnych warunków, tam i czas nieistnieje. A gdy Bóg nie jest w czasie, wtedy i Jego czynności nie są w czasie; Bóg niczego nie robi w tej lub tamtej chwili, lecz wszystko robi wiecznie, t. j. Jego działanie tak samo, jak Jego istnienie, nie może być określone zapomocą różnic czasu.

Z takiego pojęcia wieczności, pojęcia jedynie zrozumiałego, wynika, że między kreacyonizmem a nauką o preegzystencji pozorna tylko sprzeczność zachodzi. Jeżeli kreacyonizm twierdzi, iż Bóg każdą duszę stwarza w chwili, w której pewien zarodek ciała ludzkiego osiągnął odpowiedni stopień rozwoju, wyraża się o czynności twórczej Boga tak, jak gdyby mówił o czynnościach ludzkich, odbywających się w czasie, pierwiej lub później. Przenosi właściwość przedmiotu stworzonego, duszy, która w połączeniu z ciałem podpada pod kategorię czasu, na czynność tworzenia. Tak samo mówimy n. p. o artyście, że w sposób plastyczny odtworzył jakąś grupę. A właściwie plastyczność nie jest przymiotem czynności odtwarzania, lecz przedmiotu odtworzonego. Powinniśmy zatem mówić, że artysta odtworzył plastyczną grupę. A powinniśmy też mówić, że Bóg stworzył duszę, która w chwili, gdy zarodek ciała do pewnego doszedł rozwoju, zaczyna działać i objawiać się w sposób przy-



stępny określeniom czasowym. Wtedy nie powiemy nic o tem, kiedy dusza została stworzona; i słusznie, gdyż stworzenie duszy, jako akt działania Boga, niema miejsca ani w tej lub tamtej chwili, lecz ma miejsce wiecznie, t. j. w sposób nie dający się oznaczyć za pomocą określeń czasowych.

Nauka o preegzystencji zaś niczego innego nie twierdzi. Uważając, że dusze istnieją wiecznie, przyznaje się przedewszystkiem do przekonania, iż powstanie dusz nie można wytłómaczyć za pomocą sił naturalnych. Na to i kreacyanizm się godzi. A różnica, zachodząca między tymi dwoma kierunkami polega jedynie na tem, że teoria preegzystencji zadawalnia się tą wiedzą czysto ujemną, podczas gdy kreacyanizm uzupełnia ją dodatkiem twierdzeniem, mówiąc, iż dusze nie mogące powstać wskutek działania sił naturalnych, zawdzięczają swe istnienie tak samo jak materya, sile nadprzyrodzonej, czynowi twórczemu Boga. A więc sprzeczności między kreacyanizmem i teorią preegzystencji niema; sprzeczność ta powstaje dopiero, gdy kreacyanizm zaczyna do tego czynu twórczego Boga stosować miarę, którą bierze z czynów ludzkich, gdy zaczyna się pytać, kiedy Bóg dusze stwarza. Stawiać takie pytanie, znaczy zaprzeczać Bogu wieczności.

Jesteśmy u celu. Widzieliśmy, że z licznych teoryj dotyczących się duszy ludzkiej, ostać się mogą tylko te, które po pierwsze nie odmawiają jej istnienia jako podmiotu naszych zjawisk umysłowych, a po drugie nie przypuszczają, jakoby ten podmiot składał się z części. Więcej filozofia o podmiocie nam powiedzieć nie umie. A więc nie wiemy też, czy mamy pójść za spirytualizmem, za monadologią, za dualizmem. Ale wiemy, że ten podmiot, że nasze „ja“, skoro jest pojedyncze, nie może być wynikiem działania sił przyrodzonych, naturalnych, że powstać nie może w tych warunkach, w których powstają wytwory działań chemicznych, mechanicznych, biologicznych i t. d., że zatem tak samo jak niepodzielne już cząstki świata cielesnego, jest wiecznem. Różnica między teorią preegzystencji i kreacyanizmem należyce pojętym, na to przekonanie nie wpływa. Co zaś jest wiecznem, to niema ani początku w czasie, ani końca w czasie. Dusza, będąc wieczną jest nieśmiertelną.

\* \* \*

A więc twierdzenie, jakoby kwestya nieśmiertelności była rozstrzygniętą już dawno, nie było pozbawionem słuszności. Platon ją rozstrzygnął, a wszystko, co później w tej mierze działo, przyczyniło się może do ściślejszego sformułowania

tej lub owej części dowodu, ale nie zmieniło głównego toku rozumowania. Podnoszono niezliczone zarzuty przeciwko nieśmiertelności; prawda, a w niniejszej rozprawce nie uwzględniłem żadnego z nich. Ale niema obowiązku bronić się przeciw zarzutom, które podnoszą się przeciwko wynikowi badania jakiegos, a badanie samo zostawiają nietknięte. Niech mi przeciwnicy nieśmiertelności wskażą błąd w rozumowaniu, w drodze, którą doszliśmy do przekonania o nieśmiertelności, zamiast wołać, że dusza z tych a tych powodów musi być śmiertelną. Krytyka naukowa nie powinna krytykować wyników badania, lecz drogę, którą się doszło do wyników. A ponieważ ta droga w naszym wypadku jest jasną, ponieważ wnioski wyłaniają się w sposób ściśle logiczny z faktów niewątpliwych, więc ci, którym nieśmiertelność nie na rękę, wołają, że dusza śmiertelna, lub że niema duszy. Jak długo oni będą tylko podawać rzekome dowody na to, że dusza jest śmiertelną, jak długo nie dadzą dowodu, że w dowodzie nieśmiertelności tkwi błąd, tak długo będziemy mieli prawo na nich nie zważać. Póki nas ktoś nie przekona, żeśmy złą kroczyli drogą, póty będziemy wierzyć, żeśmy nie zblądzili i celu nie chybili.

*Dr. Kazimierz Twardowski.*





**Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń  
w Krakowie.**

(Dział ubezpieczeń na życie.)

Biura agencji jeneralnej  
na **Wiedeń**

znajdują się

**I. Bez., Hohenstaufengasse Nr. 9.**



# J. C. Hernick

Odlewnia artystyczna, cyzelernia i fabryka wyrobów kruszczowych  
we Wiedniu, X. Alxingergasse 1. 35

poleca się do wykonania odlewów pomników, figur, ornamentów, nagrobków etc. z brązu, cynku i innych trwałych kruszczów, podług modeli lub rysunku. — Za wykonanie artystyczne i rzetelne zaręczam, przesyłam kosztorysy, rysunki etc. z całą gotowością.



Gotowa kolosalna grupa „Helios“ z cynku nadająca się do udekorowania studni i wodotrysku w wielkim ogrodzie lub placu jest tanio do nabycia, fotografie i kosztorys takowej franco.



## Pomada „Phönix“

na wystawie higienicznej w Sztutgarcie 1890 odznaczona, jest wedle lekarskiego orzeczenia i tysięcy pism dziękczynnych uznana jako jedyny istniejący, istotnie dobry i nieszkodliwy środek. aby u pań i panów wywołać pełny i bujny porost włosów, usuwać wypadanie jak i łuszczenie się. Wywołuje także u bardzo młodych panów silny porost włosów. Zaręczam za skutek i nieszkodliwość. — Stoik 80 ct. pocztą lub za zaliczką 90 ct.

**K. HOPPE**

Wien, XIV. Hütteldorferstrasse 81.



Jedyny w Wiedniu polski  
**SKŁAD TUTEK CYGARETOWYCH, PAPIEROŚNIC etc.**  
**Karoliny Czerwińskiej**

**I. Liliengasse Nr. 1**

poleca swe znane z dobroci wyroby po cenach fabrycznych.